
THE SAVAGE SWARM—Spawned In Horror To Feast On Beauty
AMAZING
STORIES
MARCH 35¢
BEST SCIENCE FICTION
AMAZING STORIES
MARCH 1957 VOL. 31 NO. 3

C. H. Thames
(Stephen Marlowe – Milton Lesser[1])

Zamyślić się na śmierć

(Think Yourself to Death)

Amazing Stories March 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

[1] Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który w światku SF najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

Jeżeli nigdy jeszcze nie czytałeś opowieści o Johnnym Mayhemie, to czeka cię prawdziwa uczta. Johnny, który zakłada na siebie różne ciała, tak jak normalni ludzie noszą ubrania, to jedna z najbardziej fascynujących postaci serii opowiadań, w science fiction”

Kiedy Johnny Mayhem dotarł do Wężownika, miał na sobie ciało starszego dżentelmena z Syriusza.

Trudno było znaleźć coś mniej odpowiedniego. Syrianin nosił pinc-nez, dostojną, dwuczęściową bluzę w kolorze węgla drzewnego, stateczne dwubarwne buty i czarną krawatkę.

Włóczędzy kręcący się po ulicach w pobliżu budynku Obserwatora Galaktycznego, gapili się na niego, wytykali go palcami i wyśmiewali się z niego. Wykorzystując dostojną maskę martwego Syrianina, którego ciało nosił, tak jak inni ludzie zakładali na siebie ubrania, Johnny Mayhem ignorował ich. Mieli oczywiście pewne podstawy dla takiego zachowania. Na Wężowniku IX było gorąco i wilgotno. Włóczędzy na zakurzonych, brzydko pachnących ulicach, nie mieli na sobie niczego, poza przepaskami biodrowymi.

Mayhem wszedł do wnętrza budynku, które było klimatyzowane. Pewnie była to jedyna klimatyzowana budowla na całej planecie. Mayhem z wdzięcznością otarł swoje syriańskie czoło, osuszając je z potu. O ile mógł to wyliczyć, oczekiwany czas jego życia w tym ciele, obniżył się do trzech dni, typu ziemskiego. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego Liga Galaktyczna przysłała go tutaj, na Wężownika. Wzruszył ramionami, wiedząc, że dowie się tego już niedługo.

Obserwator Galaktyczny na Wężowniku IX, Hindus w średnim wieku, z Bombaju, o nazwisku Kovandaswamy, nosił na swoim pulchnym ciele wyłącznie nieskalanie białą, lnianą przepaskę biodrową. Kiedy Mayhem wszedł do jego biura, na zatroskanej twarzy Obserwatora pojawił się uśmiech ulgi. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– A więc, to pan jest Mayhem? – spytał po angielsku Kovandaswamy. – Powiedziano mi, że mam pana oczekiwać. Proszę wybaczyć, że tak się panu przypatruję, ale nigdy wcześniej nie stałem jeszcze twarzą w twarz z legendą. Jestem pod wrażeniem.

Mayhem roześmiał się.

– Przejdzie to panu.
– No cóż, przynajmniej jako dżentelmen z Syriusza, nie jest pan sympatyczny i ujmujący. To bardzo pomaga.
– To nie był mój pomysł. Nigdy o tym nie decyduję.
– Wiem. Wiem o tym, proszę pana. – Kovandaswamy wstał nerwowo spoza biurka i zaczął krążyć po pomieszczeniu. – Mayhem, czy wie pan cokolwiek o Wężowniku IX?
– Nie za wiele. To jeden z Zapomnianych Światów, nieprawdaż?
– Dokładnie, proszę pana. Wężownik IX jest jedną około dwudziestu pozasłonecznych planet, skolonizowanych w pierwszym wielkim wylewie kolonizacyjnym z Ziemi.
– Chodzi panu o ciśnienie populacyjne w XXIV wieku?
– Zgadza się. Potem Wężownik IX został, tak samo jak pozostałe Zapomniane Światy, całkowicie zapomniany. Jak pan wie, Mayhem, pierwszy wylew kolonizacyjny, cofnął się jak fala. Szybko dała o sobie znać inercja, i tak zwane Zapomniane Światy na całe pokolenia zostały odizolowane od reszty galaktyki. Dopiero w ostatnich pięćdziesięciu latach ponownie je odnaleźliśmy, jeden po drugim. Wężownik IX jest typowym przykładem, całkowicie odcięty od reszty galaktyki przez chmurę pyłową, która…
– Tak wiem. Przedostałem się przez nią.
– Oryginalnie został skolonizowany przez Hindusów ze wschodnich Indii, na Ziemi. Właśnie dlatego, to mnie Liga Galaktyczna wyznaczyła na Obserwatora. Jestem Hindusem. Tutejsi ludzie… no cóż są przykładem kierunku w jakim mogliby rozwinąć się moi rodacy, gdyby żyli przez setki lat w absolutnej izolacji.
– Na czym wobec tego polega problem?
Kovandaswamy odpowiedział pytaniem na pytanie.
– Czy jest pan świadom, jaki jest główny cel Ligi Galaktycznej?
– Oczywiście. Doprowadzić do tego, aby żadna z planet w kosmosie, nawet mała i bardzo odległa, nie pozostawała w izolacji. Czy o to panu chodziło?
– Tak – potwierdził Kovandaswamy. – Powód takiego postawienia sprawy, jest oczywisty. W ciągu niemal tysiąca lat, rasa ludzka inwestując w rozwój nauk fizycznych, wyprzedziła dalece pod tym względem, swój rozwój społeczny i etyczny. Przez ten tysiąc lat, ludzkość uzyskała dostęp do mocy, pozwalających na zniszczenie naszej rasy, przez nią samą. W izolacji jest to możliwe. W warunkach swobodnej, wzajemnej wymiany idei, staje się to ekstremalnie mało prawdopodobne. Tak więc, w interesie przetrwania ludzkości, Liga Galaktyczna próbuje udaremnić odrębny rozwój izolowanych społeczności. Jak do tej pory Zapomniane Światy współpracowały z nią. Wyjątkiem jest Wężownik IX.
– I liga chce, abym dowiedział się, dlaczego?
– Dokładnie.
– W jaki sposób działają przeciwko nam…?
Kovandaswamy spocił się, pomimo działającej klimatyzacji oraz tego, że był niemal nagi.

– Ma pan oczywiście prawo do tego, by odrzucić tę misję. Liga uprzedzała mnie o tym.

– Przecież jestem tutaj – odpowiedział prosto Mayhem.

– No dobrze, proszę pana. Chodzi więc chodzi o to, że wcześniej czy później, każdy pozaświatowiec, który zaryzykuje życie między Wężownikami, zabija się.

– Wydaje mi się, że pana nie dosłyszałem. Czy powiedział pan, że zabija się?

– Popełnia samobójstwo, panie Mayhem. Dokładnie tak.

– Ale jak może pan za to winić…

– Panie Mayhem, Wężownicy, tak samo jak ich przodkowie, zamieszkujący niegdyś ziemski subkontynent Indyjski, są mistykami. Trans świętego męża, siedzącego i kontemplującego swój pępek, Duch Świata –– w ich kulturze, te sprawy są najważniejsze. Mayhem, czy widział pan kiedykolwiek w życiu setkę świętych mężów z Indii, pracujących nad czymś wspólnie?

– Zazwyczaj oni nie pracują wspólnie.

– Dokładnie, proszę pana. Dokładnie. Ale tutaj, na Wężowniku, robią to. I nie tylko jakaś tam setka z nich. Oni wszyscy. Dosłownie, co do jednego. Działając wspólnie, kiedy ich umysły zapadną w trans, zjednoczą się, w poszukiwaniu Ducha Świata, czy czegoś tam innego, mogą robić zdumiewające rzeczy.

– Takie jak, wykorzystanie siły swoich myśli, do zmuszenia pozaświatowców do samobójstwa?

– Tak, proszę pana. Moralnie, nie uznają oni pozaświatowców, jako równych sobie. Liga chce się dowiedzieć, co oni próbują ukryć. To mogłoby być zagrożenie dla pokoju i –– istnienia ludzkości.

– Ma pan dla mnie jakieś ciało? – Johnny gotów był zmierzyć się z problemem.

Gdyby to pytanie zadał ktoś inny, a nie Johnny Mayhem, Kovandaswamy mógłby nie zrozumieć, o co mu chodzi, albo mógłby pomyśleć sobie, że pytający jest niespełna rozumu, ewentualnie obie te rzeczy na raz. Ale on, Johnny Mayhem był, oczywiście, legendarnym Człowiekiem Bez Ciała. Jak wiele powłok cielesnych zamieszkiwał podczas minionych kilku lat? Wzruszył ramionami, nie pamiętał tego. Nie mógł pozostawać w jednym ciele dłużej niż przez miesiąc. Oznaczałoby to ostateczną śmierć jego *elan*, bezcielesnej osobowości. Dotychczas jakoś udawało mu się tego uniknąć.

Liga Galaktyczna pomogłaby mu, gdyby potrafiła. Każda planeta, posiadająca ludzką populację i posterunek Ligi, nawet najmniejszy, musiała przechowywać w chłodni ciało, czekające na Johnny'ego Mayhema, na wypadek gdyby potrzebne były jego usługi. Nikt jednak nie wiedział dokładnie, w jakich okolicznościach Rada Ligi Galaktycznej, działająca z ośrodka Galaktyki, może wezwać Mayhema. A jedynie bardzo niewielu ludzi, włączając tych w Ośrodku, Przedstawicieli Ligi Galaktycznej

na cywilizowanych planetach, oraz Obserwatorów na światach prymitywnych, znało dokładnie mechanizm przybycia Mayhema. Dla pozostałych, była to niesamowita tajemnica.

Johnny Mayhem, bezcielesna istota. Niemal siedem lat temu, Mayhem –– wtedy jeszcze nazywający się Johnny Marlow –– musiał uciekać z Ziemi, ścigany jako parias i przestępca. Został śmiertelnie ranny na dzikiej planecie, głęboko w Roju Strzelca. Jego życie zostało uratowane –– w pewnym sensie –– przez białą magię tej planety. Po tym wydarzeniu, Mayhem skazany był na teoretyczną nieśmiertelność, jako pozbawiona ciała osobowość, *elan*, która była w stanie zajmować i aktywować nieuszkodzone ciała, zamrożone w poprawny sposób, …*elan* zmuszona do nieustannej wędrówki, ponieważ nie mogła pozostać w jednym ciele dłużej niż przez miesiąc, nie zabijając jednocześnie i *elan*, i ciała. Mayhem poświęcił swoje dziwne, samotne życie służbie Lidze Galaktycznej, ponieważ normalne życie oraz normalne związki społeczne, były dla niego nieosiągalne…

– A więc, zrobi to pan? – zapytał go Kovandaswamy, Obserwator na Wężowniku IX. – Nawet pomimo tego, że, jak zapewne zdaje pan sobie sprawę, nie możemy udzielić panu żadnej oficjalnej pomocy, ponieważ Liga Galaktyczna aprobuje pańską działalność tylko nieoficjalnie i nie może usankcjonować jej urzędowo. Proszę pamiętać, że żaden pozaświatowiec nie może na dłuższy czas pozostawać na zewnątrz tego budynku i poza lądowiskiem kosmicznym, nie ryzykując śmierci…

– Z własnej ręki?

– Tak. Jestem praktycznie więźniem w Kwaterze Głównej Ligi Galaktycznej, tak samo jak moi ludzie. Rozumie pan…

– Co z ciałem?

Kovandaswamy spojrzał na niego nerwowo.

– To osoba stąd, panie Mayhem. Rozumie pan, ktoś miejscowy nie powinien być napastowany.

– To ma sens. Co to za jeden?

– W najlepszym stanie, proszę pana. Ciało zdrowe, młode, w wiośnie życia, że tak się wyrażę.

– A więc, co pana tak trapi?

– Nic. Nic, proszę pana.

– Czy pańscy technicy są gotowi?

– Tak, proszę pana. I poprzysięgli zachować tajemnicę.

Mayhem znalazł niewielką kapsułkę w kieszeni swojego syriańskiego skoczka i wepchnął ją do ust.

– Co… co to jest? – spytał Kovandaswamy.

Mayhem przełknął.

– Kurara – powiedział.

– Kurara! Trucizna!

– Chodzi o paraliż – szybko wyjaśnił Mayhem. – O sparaliżowanie mięśni. Umiera się, ponieważ przestaje się oddychać. Bezbolesne… i…

– Ale…

– Proszę wezwać swoich techników… nowe ciało… gotowe…

Ciężko łapiąc oddech dżentelmen z Syriusza, teraz trudno było mówić o nim, jako o Johnnym Mayhemie, upadł na podłogę.

Drżącą ręką Kovandaswamy nacisnął przycisk na swoim biurku. Kilka chwil później do biura weszło dwóch ubranych na biało techników.

– Projekt M – polecił Kovandaswamy.

Technicy z ponurymi minami, zabrali się do roboty.

Mayhem obudził się.

Zazwyczaj między planetami podróżowała tylko jego *elan*, *elan* która pozyskiwała wszystkie potrzebne mu informacje w hipnośnie, podczas przygotowywania nowego ciała. Czasami jednak, przylatywał w normalny sposób, podróżując w ciele, któremu ciągle pozostawało parę z jego trzydziestu dni życia. Tak właśnie przyleciał na Wężownika IX, w ciele syriańskiego dżentelmena.

Ciemność. Ciało czuło się młodo i zdrowo. Mayhem zastanawiał się gdzieś w głębi umysłu, w jaki sposób mogło ono umrzeć, a potem stwierdził, że tak naprawdę, to jest kompletnie nieistotne. Przez kolejne trzydzieści dni, ciało znowu będzie żyło, jako Johnny Mayhem.

Pomieszczenie rozjaśniały wpuszczone w mur świetlówki, umieszczone na złączeniu ścian i sufitu. Mayhem na wpół leżał na łóżku. Obok leżały odłożone dla niego przepaska biodrowa i duży szal. Na ścianie po drugiej stronie pokoju wisiało zabarwione lustro. Mayhem wstał z łóżka i podszedł do niego.

Jak wygląda jego nowe ciało, to ma znaczenie drugorzędne, powiedział sobie. Młodość, zdrowie, siła –– to było ważne. Czuł je w sobie. Mógł…

Wpatrywał w obraz w lustrze. Jego twarz zaczęła się robić intensywnie czerwona. Wrócił po przepaskę biodrową i szal i założył je na siebie. Przeklinając, poszedł szukać Kovandaswamy'ego.

– Czy to niby ma być jakiś dowcip? – dopytywał się go Mayhem.

– Nigdy pan nie pytał jaka jest… – zaczął mówić Kovandaswamy.

– W jaki niby sposób, mogłem nawet pomyśleć o… czymś takim.

– To jest młode, zdrowe ciało. To jest również ciało, które zostało nam przekazane, kiedy, kiedy Liga Galaktyczna pojawiła się tu po raz pierwszy. To jedyne, jakie zostało nam przekazane.

– A więc, do wyboru jest ono albo ono, co?

– Obawiam się, że tak, panie Mayhem.

– Już dobrze, dobrze. Zdaje się, że nie powinienem się uskarżać. Pewnie jest ono w stanie prześcignąć pod względem zdolności fizycznych, możliwości walki i zdolności umysłowych, trapionego niestrawnością starszego pana z Syriusza, a na Syriuszu III wszystko przecież potoczyło się w dobrym kierunku. Ale prawdopodobnie większość swojego czasu będę musiał poświęcić na przyzwyczajenie się do niego, panie Kovandaswamy. A mam przecież przeprowadzić dochodzenie.

– Przynajmniej jako ktoś z Wężownika, nie będzie budził pan podejrzeń.

Mayhem skinął głową, powoli i z niechęcią. Szkoda było dalej marnować czas na dyskusje. Uścisnęli sobie dłonie z Kovandaswamym i, ubrany w przepaskę biodrową i szal, opuścił budynek Ligi Galaktycznej.

Oczywiście, z kompletnie nową tożsamością.

Mayhem przewędrował półtorej mili przez gorący, suchy teren. Budynek Ligi był odizolowany, tak jakby kontakt z jego mieszkańcami mógł skazić rodzimych Wężowników. Idąc zakurzoną drogą, Mayhem minął guru, jak określano świętych mężów, początkowo w Indiach, a teraz tutaj, na Wężowniku IX. Guru, pogrążony w głębokiej kontemplacji czubka swojego nosa, siedział ze skrzyżowanymi nogami, podeszwami nóg, skierowanymi do góry i na wpół przymkniętymi oczyma. Guru pozostawał w ten sposób, bez najmniejszego ruchu, dopóki Mayhem nie znalazł się poza zasięgiem wzroku. Potem guru zaczął zachowywać się, w wysoce niegurowaty sposób.

Guru wstał, całkiem zwinnie, pomimo skrzypiących stawów, suchej i popękanej skóry. Trzy kroki doprowadziły go do drzewa o częściowo wydrążonym pniu. Wyciągnął z niego nadajnik radiowy i zaczął z kimś rozmawiać.

W ciągu dwudziestu pokoleń, niewielka początkowo populacja Wężownika IX, złożona w całości z kolonistów z Indii, na Ziemi, przyrastała w postępie geometrycznym. Obecnie, skolonizowana planeta była równie przepełniona, jak rojący się od ludzi subkontynent, z którego koloniści wyruszyli w poszukiwaniu nowego domu. W wyniku tego, bezrobocie miało charakter chroniczny, niezadowolenie szerzyło się masowo, a chwile spokoju wewnętrznego, które mógł przynieść mistycyzm, były powszechnie poszukiwane. Nie powstrzymywało to jednak nie-mistyków, których również było wielu, od poszukiwania pracy, pozwalającej zarobić pieniądze, dzięki którym można było napełnić pusty żołądek…

Następnego poranka, po tym jak Mayhem w swoim nowym ciele opuścił budynek Ligi, przed biurem zatrudnienia Denebian Exports, zebrała się długa kolejka ludzi. Denebian Exports były największą firmą zewnętrzną, działającą obecnie na Wężowniku. Rozwiązała ona problem samobójstw pozaświatowców, po prostu, nie zatrudniając nikogo, poza miejscowymi. Pomimo tego ludzi stojących w kolejce przywitały wrzaski i gwizdy. Inni bezrobotni Wężownicy, ewidentnie preferujący niemal-głód od pracy dla pozaświatowców, zagrażali podgrzaniem sytuacji do niebezpiecznego poziomu.

Pandit Gandhi Menon, szczupły, przystojny Wężownik, w wieku może trzydziestu lat, żałował, że nie jest w stanie, w żaden sposób zamknąć uszu na te złorzeczenia. Potrzebował pracy. Jego ojciec i matka chorowali, dziecko głodowało, a żona już umarła. Oczywiście guru oferowali swoje własne, unikalne rozwiązanie. Ciało jest niczym, jak mówili. To umysł jest wszystkim. Ale w ten sposób, guru mówili już od czterech tysięcy lat, zarówno na Ziemi, jak i na Wężowniku. Olbrzymia większość ludzi,

włączając w to Pandita Gandhi Menona, preferowała jednak pożywienie dla ciała, a nie pożywienie dla mistycznych rozmyślań. Pomimo tego, zebrany tłum był niebezpieczny, grożąc rozpędzeniem kolejki poszukujących pracy, jeżeli Denebian Exports wkrótce nie otworzy swoich podwoi…

Jakiś rozkudłany niewielki człowieczek, jeszcze nie stary, ale szczycący się skołtunioną długą brodą i niedomytym ciałem, sprawiającym wrażenie żylastej siły, oraz dzikimi oczyma, gwałtownie rzucił się na młodą kobietę, stojącą w kolejce przed Panditem.



Krzyczał:

– Nie, nasze kobiety, też? – Mały człowieczek złapał dziewczynę, próbując wyciągnąć ją z kolejki. – Wystarczającym złem jest, że robią to nasi mężczyźni, ale nasze kobiety, nie będą!

Pandit złapał żylastą rękę fanatyka i wykręcił ją za chudymi plecami człowieczka, w bolesnej dźwigni.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział do niego. – Jeżeli jeszcze raz spróbujesz czegoś podobnego, złamię ci rękę.

Fanatyk popatrzył na Pandita z nienawiścią w oczach, ale cofnął się i stanął z boku, obrzucając ich obelgami.

Dziewczyna, wyglądająca na jakieś dwadzieścia pięć lat, miała na ramieniu wyraźny ślad. Nosiła przepaskę biodrową i szal, zwykły strój. Była, jak po raz pierwszy zauważył Pandit, całkiem ładna.

– Dziękuję – powiedziała. – Ja… wcale nie jestem pewna, czy chcę pracować dla pozaświatowców. Ale potrzebuję pieniędzy.

– Tak samo, jak nie jesteśmy pewni, my wszyscy tutaj – odpowiedział jej Pandit. – Ale jeszcze się nie zatrudniliśmy. Nazywam się Pandit Gandhi Menon.

– Sria Krishna – przedstawiła się dziewczyna, uśmiechając się do niego. – Co to za praca?

– Nie wiesz, Sria Krishna?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, Pandit wyjaśnił:

– Prawdę mówiąc, to ja również nie wiem. Ale były pogłoski, że pozaświatowcy potrzebują pilotów samolotów odrzutowych. Nie do lotów rakietami. Samolotami odrzutowymi. Żeby latać do Opustoszałych Miejsc.

– **D**o Opustoszałych Miejsc? Po co?

Pandit wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że są one puste. Ponieważ są zbyt suche i pustynne, żeby życie mogło się na nich utrzymać. Dlatego, że Denebian Exports

może rościć prawo swobodnego wywozu, wszystkiego co tam zostanie znalezione. Tak twierdzą pogłoski. Ale ty z pewnością nie potrafisz pilotować samolotu.

– A czy ty potrafisz?

– Tak – odpowiedział natychmiast Pandit, z delikatnym tonem dumy.

– Mnie też, nauczył mój ojciec. Chciałabym ci podziękować za…

– Nic takiego. Każdy na moim miejscu zachowałby się tak samo. Ten motłoch…

Motłoch nadal był hałaśliwy. Od czasu do czasu rzucali odpadkami w maruderów, dołączających się do końca długiej kolejki. Ale Pandit i Sria stali na przedzie, a drzwi wkrótce się otworzyły. Po kilku minutach Pandit przyglądał się, jak dziewczyna znika w środku. Czekał nerwowo, oblizując spieczone wargi wyschniętym językiem. Ciągle był wczesny poranek, ale już zrobiło się bardzo gorąco. Potrzebował pracy. Jakiejkolwiek pracy. Potrzebował pieniędzy, którymi za uczciwą pracę pozaświatowcy płacili w tak dużych ilościach. Zastanawiał się, czy fanatyczni guru, w ogóle kiedykolwiek o tym pomyśleli. Potem, drzwi przed nim ponownie się otworzyły i wyszedł z nich gruby, świecący się od tłustego potu, Wężownik. Wydawał się być jakiegoś rodzaju urzędnikiem.

– Jeszcze jeden! – oznajmił. – Tylko jeden! Reszta z was może sobie pójść.

Za plecami Pandita rozpoczęła się ogólna przepychanka i poczuł nacisk napierających ciał, ale był pierwszy w kolejce i nie oddał swojej pozycji. Wyglądający na wysmarowanego tłuszczem człowiek, skinął na niego, na wpół oczekując łapówki. Pandit przeszedł obok urzędasa bez słowa. Nie miał w kieszeni nawet miedziaka.

Podszedł do biurka. Z dworu dochodził głośny hałas tłumu, ci którzy nie dołączyli się do kolejki tryumfowali, ponieważ większość w niej stojących, została odprawiona z kwitkiem. Za biurkiem siedział mały Denebianin, w średnim wieku. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Czy potrafi pan latać? – spytał głosem, piskliwym z napięcia i desperacji.

– Tak – odparł Pandit. A więc pogłoski okazały się prawdziwe.

– Ile lat doświadczenia?

– Pięć, z przerwami.

– Ma pan licencję?

– Na Wężowniku IX, nie mamy licencji – zauważył Pandit.

– Tak, oczywiście. Przepraszam. Przyzwyczajenie. Wy tutaj, nie kłamiecie.

– Próbujemy tego nie robić.

– Pańskie nazwisko?

Pandit podał mu dane. Denebianin zapisał je na formularzu, a potem powiedział:

– Jest pan przyjęty. Płaca wynosi dwadzieścia kredytów za misję. – To nie było dużo, ale więcej niż Pandit się spodziewał.

– Co będziemy przewozić? – spytał. Wydawało się, że pytania nie są mile widziane, ale co mu szkodziło spróbować.

Denebianin spojrzał na niego znacząco i zaśmiał się.
– Chcesz tę robotę, czy nie?
– Tak, oczywiście, że chcę.
– No to, nie zadawaj pytań.
Pandit skinął głową.
– A więc, przez te drzwi. Inni nowi piloci, już tam się zbierają.
I Pandit opuścił niewielkie biuro.
Chwilę później, na biurku Denebianina zadźwięczał brzęczyk komunikatora. Powiedział do siatki mikrofonu:
– Tu Orkap. Możesz mówić.
– Guru w pobliżu gmachu Ligi, przekazuje, że jakiś tutejszy Wężownik wyszedł z budynku i skierował się w stronę miasta.
– Kiedy to było?
– Wczoraj, rano.
– I?
– Sam sobie wyciągnij wnioski. Miejscowi z reguły nie chodzą do kwatery głównej Ligi, co nie?
– Nie.
– A Liga, oczywiście, chciałaby się czegoś dowiedzieć o tych samobójstwach?
– Tak, ale…
– Ale, nic – oznajmił przez radio głos, należący do jedynego Denebianina oprócz niego, znajdującego się obecnie na Wężowniku IX. – Spokojnie możemy założyć, że ten miejscowy, to szpieg. Szpieg Ligi, Orkap.
– No, dobrze. Nadal jednak nie widzę żadnego powodu do niepokoju.
– Naprawdę? Guru, tak jak inni tutejsi, mogą kręcić, ale nie potrafią kłamać. Wcześniej, czy później, guru zostanie wyrwany z transu przez Ligę, przesłuchany i…
– Powie im o nas? – spytał Orkap wstrząśniętym głosem
– To może się wydarzyć. Być może nawet już się stało. Oczywiście, nie będzie żadnych dowodów, ale Liga wyśle w takim przypadku szpiega. Myślę, że jestem w stanie opisać ci tego miejscowego.
– No, dalej. – ponaglił Orkap i głos przez radio wykonał polecenie.
Wstrząśniętym tonem, Orkap przyznał:
– Przyjąłem dzisiaj rano tego Wężownika do pracy, jako pilota. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.
– Acha, a więc teraz rozumiesz? Załapałeś?
– Mogę to naprawić. Mogę…
– Och, Orkap, Orkap. Teraz nie zrobisz nic. Na razie, zostaw tego szpiega w spokoju. Potem, na Opustoszałych Miejscach, po prostu powiadomisz pilotów, że między nimi jest szpieg. Nie wyjawisz im, kto. – Orkap nie mógł uwierzyć własnym uszom.
– Ale…

– Oni chcą tej pracy. Potrzebują jej. Wszyscy będą się bali, że palec sprawiedliwości może wskazać na nich. Będą dla ciebie pracować do upadłego, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby sami wykryli tego szpiega.

– Tak – potwierdził entuzjastycznie Orkap. – Tak, teraz rozumiem.

– Wszystko, poza jedną sprawą, Orkap. Jest pewna rzecz, której nadal nie chwytasz. Tego, kto jest tym szpiegiem…

– Już mi mówiłeś, kto nim jest.

– Tak. Ale w grę wchodzi jeszcze jeden szpieg. Ten pracuje dla nas, w budynku Ligi.

– Nic o tym nie wiedziałem – obruszył się Orkap.

– Ten szpieg, którego masz między pilotami, jest dużo ważniejszy, niż wygląda. Czy słyszałeś może kiedyś o Johnnym Mayhemie?

Serce Orkapa skoczyło mu do gardła. Kto w galaktyce nie słyszał o Mayhemie?

– Ale – wysapał z trudem, – to…

– A jednak. To jest Mayhem.

Orkap nagle poczuł strach, znacznie silniejszy, niż kiedykolwiek wcześniej w całym swoim życiu. Wszechobecny, tajemniczy Mayhem.

Świecące szaleńczym blaskiem, białe słońce Wężownika IX, żywym ogniem przypiekało Opustoszałe Miejsca, pustynię, pozbawioną cech charakterystycznych terenu, o średnicy dwóch tysięcy mil, jaskrawo białą, jak wyschnięta kość. Na tym rozpalonym pustkowiu, odrzutowiec transportowy wydawał się być bardzo mały i niewiele znaczący, jak czarny komar na wściekle białym piasku.

Jak mniejsze komary między większymi, wokół samolotów chodzili nowi piloci.

Jeden z nich stwierdził:

– Ale nigdzie nie widzę żadnego ładunku.

Ktoś odparł mu filozoficznie:

– Ci pozaświatowcy i ich tajemnice.

Wszyscy byli spoceni i czuli się zmęczeni, ale byli wdzięczni za dwadzieścia kredytów za lot, które mieli zarobić, niezależnie od tego co było ich ładunkiem.

– Co myślisz? – Pandit spytał Srię.

– Myślę, że jeszcze nigdy nie było mi tak gorąco. Czuję się, jakby miano mnie upiec żywcem.

– Już idzie Denebianin.

Zostali zawiezieni w Puste Miejsca piaskowymi saniami. Podróż trwała dwa dni, ale ponieważ sanie były klimatyzowane, nikt nie narzekał. Kiedy zobaczyli kilka czekających odrzutowców, wiedzieli już, po co przywieziono ich do tej dzikiej krainy. Odrzutowce były niewielkimi transportowcami, każdy z nich zawierał miejsce dla pilota, drugiego pilota i przedział na może tonę ładunku. Cokolwiek Denebianie chcieli stąd wywozić, nie zajmowało to zbyt dużo miejsca.

W ich stronę, obok jednego z samolotów, zmierzał Orkap z Deneba. Zaczął mówić, bez żadnych wstępów:

– Wasze ładunki są już popakowane i czekają gotowe do transportu, w podziemnym magazynie, położonym pięćset jardów stąd. Podzielicie się na pary, złożone z pierwszego i drugiego pilota, do każdego odrzutowca. – Sria Krishna i Pandit, już wcześniej, sami dobrali się w parę. – Będziecie pracować zgodnie z ustalonym przez siebie harmonogramem, przewożąc towar przy pomocy ślizgów rolkowych, ładując go do samolotu i dostarczając drogą lotniczą na stojący w porcie kosmicznym denebiański frachtowiec. Kiedy skończycie, otrzymacie swoją płacę.

– A gdzie mamy spać? – ktoś zapytał.

Orkap uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Nie jesteście tutaj, żeby spać. Ilość ładunku do przewiezienia, jest ograniczona. Odrzutowce są szybkie. Wasza płaca będzie proporcjonalna do rozmiarów pracy, jaką w to włożycie. Jeszcze jakieś pytania?

– A co z jedzeniem? – spytał pulchny, młody Wężownik.

– Otrzymacie tabletki energetyczne, w ilościach, jakie będziecie chcieli. Czy jeszcze jakieś pytania? Nie? Dobrze. Mam jeszcze dwie dodatkowe sprawy, o których muszę powiedzieć. Pierwsza, w żadnych okolicznościach, nie wolno wam sprawdzać przewożonych ładunków, ani tutaj, ani podczas lotu, ani na lądowisku kosmicznym. W każdym samolocie są televidowe jednostki nadawcze, tak więc będziecie obserwowani, przez cały czas. Druga sprawa… – Orkap zrobił przerwę i pozwolił aby cisza opadła ciężarem, rozkładając się na całym, zalanym oślepiającą bielą, placu. – Pomiędzy wami jest szpieg, noszący na sobie ciało Wężownika, ale tak naprawdę… no cóż, nie muszę wam chyba mówić, kim on jest naprawdę. – Orkap uśmiechnął się ponuro. – Jest tylko jeden człowiek w galaktyce, potrafiący zmieniać ciała, ale nawet ten jeden, to już za dużo.

Jeden z pilotów wykrztusił, z trudem otwierając usta:

– Johnny Mayhem!

Orkap znowu się uśmiechnął.

– Ja wiem, kto jest Mayhemem – oświadczył. – Nie mam jednak zamiaru nic w tej sprawie robić.

Piloci czekali. Słońce płonęło złowrogim blaskiem.

– Widzicie – powiedział im Orkap, – nie możemy być tak do końca pewni, że reszta z was, jest tutaj tylko po to, żeby zarobić swoje dwadzieścia kredytów za lot. Mayhem mimowolnie stał się naszym ubezpieczeniem. Znajdźcie go! Znajdźcie szpiega w waszych szeregach! Sto kredytów ekstra, dla tego, kto tego dokona!

Pandit popatrzył na Srię, która na te słowa cicho zagwizdała. Dziewczyna wyjaśniła:

– Nawet jeżeli wszyscy sądzą, że dadzą radę skończyć robotę, bez przerwy na sen, przenosząc ładunek, transportując go samolotem na lądowisko kosmiczne i wracając po kolejny, to sto kredytów jest kwotą na tyle dużą, że prawdopodobnie nikt z nas tyle nie zarobi. Wszyscy będą więc wypatrywać tego Mayhema, jak jastrzębie.

– A w dodatku – zgodził się z nią Pandit, – jeżeli między nimi jest jakiś miejscowy szpieg, będzie bał się ujawnić, żeby inni nie pomyśleli, że to on jest Mayhemem. Bardzo sprytne zagranie ze strony Denebian.

– … natychmiast zabrać się do roboty – mówił właśnie Orkap. Do biodra miał przypięty blaster, był jedynym uzbrojonym człowiekiem, pośród nich. Wszyscy wyruszyli za nim w mozolną wędrówkę, przez rozpalone, pozbawione cech charakterystycznych, piaski. Wkrótce dotarli do zagłębienia terenu, z którego usunięty został cały piach, odsłaniając białe skalne podłoże Opustoszałych Miejsc. W skale wycięty był kwadratowy otwór, chroniony ze wszystkich stron przed nawiewanym piaskiem, przez zakrzywiające się do góry grube osłony. W dół, ginąc w ciemności, prowadziła rampa.

– Wasze ładunki są tam, na dole. Jest tam również wystarczająco dużo ślizgów rolkowych, aby można je przewieźć – wyjaśnił Orkap. – Ładunki zapakowane są w skrzynie. Te skrzynie muszą pozostać nienaruszone. Czy to jest jasne?

Wszystko było jasne.

Otoczeni całunem raptownie wznieconych wzajemnych podejrzeń, palących gorzej, niż gorąco pustyni, Wężownicy schodzili po rampie. Potrzebowali pieniędzy, inaczej by ich tutaj nie było. Pieniądze były dla nich ważniejsze niż wszystko inne: nie było więc czasu, aby się dłużej zastanawiać. A jednak, któryś z nich był szpiegiem Ligi Galaktycznej –– Johnnym Mayhemem.

Któryś z nich, ale kto?

Pandit szybko oszacował liczbę skrzyń. Były starannie ułożone w stos pod jedną ze ścian, każda z nich miała mniej więcej cztery stopy, na cztery, na cztery. Patrząc na ich rozmiary, jedna skrzynia powinna wypełnić komorę ładunkową każdego z czekających odrzutowców. Pandit z grubsza przeliczył. Dwa tuziny skrzyń, może. Trudno było powiedzieć, w przyćmionym świetle. Dwa tuziny skrzyń, sześć odrzutowców, dwunastu Wężowników. Cztery przeloty dla każdego odrzutowca. Pół godziny na załadunek, dziesięć minut na rozładunek, półtorej godziny odrzutowcem na lądowisko kosmiczne. Cała pętla, trzy godziny, czterdzieści minut. Powiedzmy, cztery godziny. Cztery razy cztery, szesnaście. Szesnaście godzin nieprzerwanej pracy, za osiemdziesiąt kredytów. Nie ma czasu na żadne tajemnice i podejrzenia. Ledwie go starczy na brak zaufania.

– Hej, ty! – zawołał jakiś głos. – Co ty tam robisz?

Był to głos jednego z pozostałych Wężowników, chyba największego spośród nich. Pandit widział go już wcześniej, na zewnątrz, i zapamiętał jego nazwisko. Nazywał się Raj Silva, wysoki, muskularny, zwalisty Wężownik, o małych, podejrzliwych oczkach i żywo czerwonej bliźnie po boku szczęki.

– Nic – odparł Pandit. – Zupełnie nic.

– Nic? Inni zabrali się już za załadunek. Będę na ciebie uważał.

Dla stu kredytów, pomyślał Pandit ze wściekłością, ale na głos nic nie powiedział. Sria dotknęła jego ramienia:

– Znalazłam już wolny ślizg rolkowy – powiedziała. – Lepiej zabierzmy się do pracy.

– Racja – przyznał Pandit.

Raj Shiva obserwował ich jeszcze przez kilka chwil, a potem oddalił się ze swoim własnym partnerem. Załadowanie jednej ze skrzyń na pokład odrzutowca, zajęło Panditowi i Srii kilka minut poniżej pół godziny, ciężkiej, zroszonej obfitym potem pracy, w niesamowitym upale. Trzy z pozostałych samolotów, wystartowały już przed nimi w powietrze, z wyciem powietrza mknąc w kierunku lądowiska kosmicznego.

Pandit przyjrzał się skrzyni. Nie było na niej żadnych oznaczeń, nigdzie. Drewno wyglądało na względnie świeże, ale to absolutnie nic nie znaczyło. W suchym i gorącym klimacie Opustoszałych Miejsc, mogłoby wytrzymać sto lat, a nawet tysiąc. Nie było możliwości określenia, jakie jest stare.

– **G**otowe? – zawołała siedząca przy sterach Sria Krishna.

Pandit umocował skrzynię w przedziale ładunkowym.

– Gotowe – odpowiedział.

Kilka chwil później, przyśpieszenie wcisnęło im plecy, w bliźniacze fotele pilotów.

Sria wyrównała samolot na dwudziestu tysiącach i pomknęli osiemset mil na godzinę, w stronę miasta i znajdującego się tuż za nim, lądowiska kosmicznego.

– Czy nie ciekawi cię to? – spytała po chwili Sria.

– Co?

– Ładunek.

– To nie nasza sprawa.

– Wiem – roześmiała się Sria. – Ale rozumiesz, ja jestem kobietą.

Pandit wyszczerzył zęby w jej stronę:

– Ciekawość – stwierdził. – Cecha kobiet na każdej z planet.

Sria podniosła się z fotela pilota, ale Pandit położył jej rękę na ramieniu i łagodnie ściągnął ją z powrotem na dół.

– Mają przecież jednostkę televidową na pokładzie – przypomniał jej, – pamiętasz?

Sria skinęła głową. Odrzutowiec mknął naprzód.

Wylądowali na lądowisku kosmicznym. Byli czwartym odrzutowcem, który tam dotarł, a jeden z pozostałych trzech, wystartował już na trasę powrotnego odcinka. Jakiś Denebianin, którego Pandit nigdy wcześniej nie widział, kierował ubranymi w przepaski biodrowe robotnikami, ładującymi skrzynie na pokład denebiańskiego statku kosmicznego. Razem ze Srią podjechali ze swoją skrzynią na ślizgu rolkowym, wrócili potem ze ślizgiem do swojego odrzutowca i wystartowali.

Minęło niemal cztery godziny od rozpoczęcia pracy, kiedy wrócili do Opustoszałych Miejsc. Zaoszczędzili trochę czasu i byli drugim zespołem, który tam wylądował. Ze znajdującego się tuż przed nimi odrzutowca wysiadł Raj Shiva, prowadzący za sobą swojego wymizerowanego ko-pilota, człowieka w średnim wieku.

Orkap stał w pomieszczeniu podziemnego magazynu. Spoglądając na chrono, na nadgarstku, powiedział do schodzącej rampą czwórki Wężowników:

– Niezły czas zrobiliście.

Wymizerowany towarzysz Raja Shivy, coś mu odpowiedział, ale Raj Shiva złapał go za ramię i pośpiesznie zaczęli ładować drugą skrzynię. Pandit i Sria, w milczeniu, zajęli się swoim ładunkiem.

Swoją drugą rundę, wykonali dokładnie w cztery godziny. Kiedy wrócili do Opustoszałych Miejsc, było już ciemno. Sria martwiła się, że mogą nie znaleźć miejsca, w którym czekał ładunek, ale Pandit pewnie sprowadził mały odrzutowiec na ziemię, w odległości niecałych dwustu jardów od miejsca, z którego wystartowali.

Kiedy wyłączyli światła pozycyjne samolotu, wszędzie dookoła zaległa kompletna ciemność, poza lekką poświatą dolatującą z podziemnego magazynu. Doszli do niego i zeszli na dół, po rampie. Pandit ocenił, że do tej pory zniknęła już połowa skrzyń. Zrobił szybkie kółko, obchodząc słabo oświetlone pomieszczenie, podczas gdy Sria podciągnęła ślizg rolkowy na miejsce, przed jedną ze skrzyń.

– Nikogo tutaj nie ma – szeptem zauważył Pandit. – Denebianin musiał pójść spać, pewnie gdzieś w miękkim piaseczku.

– Tak – odparła Sria, przyciszonym głosem.

– Tak sobie myślałem…

– O czym? – powiedziała Sria. – Mów dalej.

– Gdybyśmy chcieli sprawdzić jedną z tych skrzyń, szaleństwem byłoby otwierać tę, którą zabierzemy. Ale moglibyśmy otworzyć którąś z tych, tam na dole, zobaczyć co w niej jest, a potem dla siebie zabralibyśmy inną…

– Zrobiłbyś to? – spytała go Sria. – Dlaczego?

Pandit wzruszył ramionami.

– Mam oczy – odparł. – Nasi guru nie transmitowali chęci śmierci dla pozaświatowców, zanim nie przybyli tutaj Denebianie. Potem zaczęli to robić. Czy to Denebianie sprzedali im ten pomysł?

– Nie wiem – przyznała Sria.

– No cóż, załóżmy, że tak faktycznie było. Dlaczego? Dlaczego mieliby coś takiego robić, Sria?

– **W**yjaśnijmy sobie kilka rzeczy, Pandit. Po pierwsze, myślisz, że guru naprawę zmuszają pozaświatowców, do tego, żeby zadawali sobie śmierć?

– Oczywiście – potwierdził Pandit. – Mamy do czynienia z sugestią umysłową, na tak ogromną skalę, że tylko guru są w stanie ją wyemitować. Zrozum jednak, Sria, że oni nigdy by tego nie zrobili, tak sami z siebie. Guru może są brudni, może też nie dbają o swoje ciała… ale przede wszystkim są strasznie aroganccy. Nie mówiąc już o innych rzeczach, nigdy by im nawet do głowy nie przyszło, że pozaświatowcy są na tyle ważni, żeby w ogóle, marnować na nich swój cenny czas. A już z pewnością by ich nie zabijali.

– Mów dalej – ponagliła go Sria.

– Dobrze. Guru mają ogromną wiedzę na temat mistyki, ale w stosunkach ze światem zewnętrznym, są strasznie naiwni. Przypuśćmy, że ktoś tutaj przyleciał –– w tym przypadku, chodzi mi o Denebianina –– i znalazł na Wężowniku coś, czego strasznie potrzebował. Tego, co jest w tych skrzyniach, Sria. Jak mógłby rozwiązać ten problem? Mógłby pójść do guru i przekonać ich –– co wcale nie byłoby aż takie trudne –– że jakiekolwiek kontakty z pozaświatowcami, są dla Wężowników strasznie szkodliwe. Że ci pozaświatowcy mają zamiar skolonizować i eksploatować naszą planetę, czy coś w tym stylu. W czasie gdy guru ugrzęźliby w tej sprawie, Denebianie mogliby sobie tutaj przygotować ten ładuneczek –– cokolwiek jest tam w środku –– do wywiezienia. Ale guru, których przekonywanie poszło aż za dobrze, mogli zacząć działać wcześniej, niż spodziewali się nasi kombinatorzy, zmuszając wszystkich pozaświatowców, poza niewielką garstką, a wśród nich również Denebian, żeby wyjechali stąd ze strachu, że mogą odebrać sobie życie. Być może paru z nich, jak Orkap i ten drugi Denebianin, są odporni na sugestię samobójstwa. Być może, paru z nich jest w stanie jej się oprzeć. Natomiast cała reszta, spakowała manatki i uciekła poza obszar wpływu umysłów guru, albo w ogóle wyniosła się z Wężownika. Co pozostawiło Denebian z problemem, o którym wcześniej nie pomyśleli.

Słowa Pandita, miały sens.

– Tak, zawołała z podnieceniem Sria. – W końcu, kiedy już przygotowali swój cenny ładunek do wywozu, w jaki sposób mieli go zabrać z Wężownika, bez jakiejś pomocy?

– To my – dodał przyciszonym tonem Pandit, – jesteśmy tą pomocą.

Sria spytała:

– I co masz zamiar z tym zrobić?

– Nie wiem. Uczciwie mówię, nie wiem. Nigdy nie miałem nic przeciw pozaświatowcom. Niby czemu miałbym coś mieć? Wszyscy tutaj jesteśmy potomkami pozaświatowców, którzy przybyli na Wężownika niemal pięćset lat temu z miejsca nazywanego Indie, na Ziemi. Ale guru…

– …zostali oszukani. Sam przecież tak powiedziałeś.

Pandit pocił się obficie, i powodem tego pocenia musiało być coś więcej, niż tylko gorąco. Zaczął krążyć niespokojnie po magazynie. Podszedł do skrzyń, wrócił do niej, a następnie ponownie podszedł do skrzyń. Nagle zdecydował się:

– Już dobrze, dobrze. Zrobię to. Ktoś musi sprawdzić, czego ci Denebianie tutaj szukali.

I Pandit zaczął bacznie oglądać jedną ze skrzyń, trzymając już w ręku nóż, który zawsze nosił przy sobie, w swojej przepasce biodrowej. Sria zaproponowała:

– Popilnuję czy nikt nie idzie. Zawołaj mnie, jak ją otworzysz.

– Może powinnaś stąd wyjść? Tak na wszelki wypadek, gdyby coś się stało. Nie chcę, żebyś została w to wmieszana.

Ale Sria już weszła rampą na górę i przykucnęła przy wejściu, czekając i czujnie się rozglądając. Pustynia była bardzo spokojna, było zupełnie bezwietrznie i gorąco, nawet w nocy. W górze na niebie skrzyły się gwiazdy i gdzieś z daleka wydawało jej się, że dosłyszała przytłumione wycie silnika odrzutowca.

– Pośpiesz się – zawołała. Z dołu usłyszała trzask drewna, odłamywanego z większego kawałka. Usłyszała ponownie, albo wydawało jej się że słyszy, odgłos silnika odrzutowca, ale dobiegający z bliższej odległości. – Pośpiesz się! – zawołała przyciszonym głosem.

W końcu doleciały do niej trzy słowa:

– Chodź tutaj, Sria.

Poczuła lekką ulgę. Nareszcie skończył.

Nasłuchiwała odgłosów zbliżającego się odrzutowca. W tej chwili, jednak, nic już nie słyszała. Zeszła szybko po rampie, do magazynu.

Mocno zasapany Pandit stał przy jednej ze skrzyń. Odłamał jeden z jej boków, odsłaniając gładką, metalową powierzchnię. Na całym odsłoniętym fragmencie, była popisana jakimiś namalowanymi farbą literami.

Wyjaśnił:

– Nie potrafię tego przeczytać. To język, z którym nigdy wcześniej się nie spotkałem.

Sria nachyliła się mocniej, przyglądając się namalowanym literom. Nagle odezwał się jakiś głos, zdecydowanie nie należący do Pandita:

– Tak sobie myślałem, że to będzie wasza parka… Stać, nie ruszać się!

W wejściu zobaczyli, oświetloną blaskiem gwiazd, wielką umięśnioną sylwetkę, a obok niej drugą, szczupłą postać na cienkich nóżkach. Raj Shiva i jego drugi pilot.

– Sto kredytów na głowę, Handus – oświadczył Raj Shiva, schodząc po rampie. – Czy mógłbyś zająć się dziewczyną, żeby nie uciekła?

Handus pośpieszył biegiem na dół.

Pandit stawił czoła Rajowi Shivie, zaraz koło wejścia na rampę. Pandit, jak na standardy Wężownika, był potężnym mężczyzną, ale Raj Shiva był od niego większy.

– Uciekaj, Sria! – zawołał Pandit i ruszył na giganta, z nożem.

Raj Shiva zablokował cios przedramieniem, a potem jego ręka wykonała szybki ruch i nóż zaklekotał po podłodze. Sria podbiegła do rampy, a jej gołe stopy plaskały szybko na kamiennej podłodze. Handus czekał na nią koło rampy, w niezdarnym przysiadzie. Kątem oka pochwyciła widok siłujących się Raja Shivy i Pandita, ale Handus już uderzył ją zaciśniętą pięścią. Było to słabe uderzenie, ale Sria zatoczyła się

do tyłu, a szczęka jej zdrętwiała. Śmiejąc się piskliwie, Handus rzucił się na nią. Odepchnął ją do tyłu. Cofając się, potknęła się o coś i upadła. Na chwilę w głowie zamigotały jej wszystkie światła.

W głowie… nie! Raj Shiva i Pandit przetaczając się po całym pomieszczeniu, uderzyli w coś, rozległ się głośny, trzask pęknięcia, potem buczenie, i światła zgasły.

– Gdzie ona jest! – zawołał Handus. – Nie mogę jej znaleźć!

Usłyszała jak szuka jej dookoła, po omacku, na tle odgłosów walki pozostałej dwójki. Pozbierała się na nogi i stała bez ruchu, czekając na jakąś okazję. Szkoda, że nie miała żadnej broni… czegoś… była tylko kobietą…

Wtedy jakiś głos szepnął do niej:

– Szybko, Sria! Szybko!

– Pandit?

Złapał ją w ciemności za rękę. Było tak ciemno, że zupełnie go nie widziała. Podeszli do skrzyń i z wysiłkiem zapakowali jedną z nich na swój ślizg.

– To nie ta otwarta? – wysapała Sria.

– Nie. Nie.

Usłyszeli tupot… Przez chwilę zobaczyli czyjąś sylwetkę, na tle rozgwieżdżonego nieba. Handus uciekał, pewnie po to, aby wezwać pomoc.

Wyciągnęli swój ślizg na dwór i ruszyli z nim przez piach, w kierunku czekającego odrzutowca. Załadowali skrzynię do ładowni. Podczas gdy Pandit w ciemności kończył pracę, Sria usiadła za sterami.

– Gotów? – przekrzyczała wycie silników.

Pandit odpowiedział jej, że tak. Ledwie słyszała jego głos.

W chwilę później, niewielki transportowiec odrzutowy, znalazł się już w powietrzu.

Słyszała odgłosy ruchów Pandita, w małej kabinie za plecami. Spytała go:

– Powinniśmy zabrać to do przedstawicielstwa Ligi, jak myślisz?

Musiała głośno krzyczeć, żeby mógł ją usłyszeć powodzi ryku i wycia silników odrzutowych.

– Dlaczego?

– Udało mi się trochę odczytać, z tego co jest napisane na ładunku, w skrzyni. To po procyoniańsku, Pandit. Czy słyszałeś kiedyś o Procyonianach?

Milczenie.

– A więc, Procyonianie byli najbardziej wojowniczym ludem w galaktyce. Chodziły słuchy, że gdzieś ukryli skład z bombami termojądrowymi, po zakazaniu tej broni w dwudziestym piątym wieku. Składu nigdy nie udało się odnaleźć, aż do dzisiejszej nocy. To my go znaleźliśmy, Pandit.

– Ale Orkap i…

– To prawda. Wcześniej znaleźli go Denebianie. Nie rozumiesz, Pandit? Orkap i inni, prywatni denebiańscy handlarze. To nie rząd. W dzisiejszych czasach, to nigdy nie jest rząd. Tylko pozbawieni skrupułów osobnicy, Pandit, którzy wchodzą w posiadanie dwóch tuzinów bomb wodorowych. Przecież oni mogą nawet przejąć władzę u siebie, pod groźbą natychmiastowej zagłady, albo na jakiejś innej bogatej planecie, którą mieli wcześniej na oku, ewentualnie…

– Rozumiem – Głos Pandita był ledwie słyszalny, ginąc w wyciu silników.

– Czemuś takiemu, zaradzić może tylko Liga Galaktyczna – mówiła dalej Sria. – Teraz, wszystko już wyszło na jaw –– albo wyjdzie zaraz, jak tylko dolecimy na lądowisko kosmiczne. Zrobiłeś już, co do ciebie należy, Pandit, i twoi rodacy nigdy ci tego nie zapomną. To samo, co do mnie, moja praca tutaj, także jest już zakończona.

– Twoja praca?

Przekrzykując wycie silników, Sria zawołała:

– Tak. To ja jestem Johnny Mayhem. – Uśmiechnęła się w ciemności. Johnny Mayhem, pomyślała, w ciele dziewczyny. No cóż, był już młodym mężczyzną, i starym. Chorym i zdrowym. Człowiekiem i obcym z innej planety. A więc, dlaczego nie miałby być również dziewczyną?

Kompletnie niespodziewanie, poczuła na ramieniu ciężką rękę Pandita. Obróciła się do tyłu i w zupełnych ciemnościach, rozświetlanych tylko słabymi światełkami przyrządów na desce pilota, zauważyła błysk ostrza noża. Wyglądająca spoza ostrza twarz, patrząca na nią z ciemności, nie należała do Pandita. Tak naprawdę, to nie wiedziała przecież, czy to jest Pandit. Nie widziała go. Ledwie słyszała jego głos.

To był Raj Shiva.

– Zabierz nas do Denebian Exports – polecił, – albo cię zabiję i polecę tam sam.

– Popełniasz błąd. Należycie do Ligi Galaktycznej i nie przyłączycie się do garstki awanturników, którzy…

– Denebianie mają rację – z fanatyzmem w głosie odparł Raj Shiva. – Dużo lepiej by było, gdyby pozostawiono nas w spokoju.

– Ja lecę do portu kosmicznego –– i do Ligi.

– Zabiję cię. Wiem o tobie wszystko, Mayhem. Tak naprawdę, to nie jesteś kobietą. Nie jesteś nawet stąd. To jest ciało zmarłej osoby, co nie? Ale jeżeli je zabiję –– ponownie –– kiedy jesteś w środku, ty również umrzesz. Czy teraz zrobisz to, co powiedziałem?

Tej brzemiennej w skutki nocy, przynajmniej jeżeli nie uda się coś z tym wszystkim zrobić, ładunek broni termojądrowej znajdzie się w kosmosie, co skończy się pierwszym wybuchem termojądrowym w galaktyce, od niemal pięciuset lat. Czy ludzkość zacznie w końcu kiedyś się uczyć? Pomyślał ze zmęczeniem Mayhem-Sria. Oczywiście, znał

odpowiedź na to pytanie: większość ludzi tak, ale zawsze znajdzie się paru odpornych na wiedzę, którzy odmawiając nauki, mogą ściągnąć zagładę na całą galaktykę…

Kilka chwil wcześniej, misja była oczywistym sukcesem. Teraz zmieniała się w porażkę. Albo śmierć. Albo obie te rzeczy na raz.

Ręka Srii nagle wystrzeliła, uderzając w pulpit sterowniczy. Odrzutowiec rzucił się w stronę ziemi, z długim narastającym wyciem. Sria poczuła, że olbrzymie przyśpieszenie wpycha jej plecy, w wyściełany fotel pilota. Usłyszała dziki wrzask Raja Shivy, ale nie była nawet w stanie, odwrócić się do tyłu, żeby zobaczyć co się stało. Z zaciśniętymi wargami, utrzymywała kurs w dół, z najwyższą szybkością. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, i że może to zakończyć się katastrofą. Jej ciało powinno wytrzymać, nawet gdyby potem miała stracić przytomność. Ale jeżeli nie utrzyma lotu nurkowego do ostatniej chwili, Raj Shiva przejmie kontrolę nad samolotem i jego tak niesamowicie ważnym ładunkiem. Była tylko dziewczyną, ale chroniła ją antywypadkowa wyściółka fotela pilota. Raj Shiva, pozbawiony takiej ochrony, był gdzieś z tyłu, za nią…

Mały statek powietrzny pędził w dół, przez wyższe warstwy atmosfery Wężownika IX, z wizgiem otaczającego go rzadkiego powietrza, a kontrolka czujnika gorąca migotała ostrzegawczo, nieustannie zapalając się i gasnąc, podczas gdy tarcie coraz bardziej rozpalało cienką powłokę odrzutowca. Wizg powietrza robił się coraz głębszy i niższy, w miarę jak atmosfera stawała się gęstsza…

Dziesięć tysięcy stóp.

Osiem tysięcy.

Sześć.

Ciemność przed oczyma Srii zgęstniała do czerni. Każdy oddech okupiony był ciężkim wysiłkiem. W czaszkę wbijały jej się z rozpędem igły bólu, zagłębiały się jej w oczy. Otworzyła usta do krzyku, ale niczego nie usłyszała. Czuła się tak, jakby coś usiłowało przecisnąć jej ciało przez ochronne poduszki fotela pilota.

Pięć tysięcy stóp.

Cztery tysiące.

Ciemność, spokój i spowijające ją coraz mocniej wyczerpanie…

Trzy tysiące stóp.

Przy pomocy z trudem funkcjonujących rąk, Sria z największym wysiłkiem wyciągnęła odrzutowiec z tego śmiertelnego nurkowania. Opadła bezwładnie w fotel pilota, przez dłuższą chwilę czując się zbyt słaba, aby zrobić cokolwiek innego.

Potem obejrzała się, żeby sprawdzić co się stało z Raj Shivą.

Leżał bezwładnie nieprzytomny, pod tylną grodzią przedziału transportowego.

Mayhem-Sria wylądował samolotem i, środek nocy czy nie, zażądał spotkania z Kovandaswamym. Raj Shiva otrzymał odpowiednią opiekę. Samolot wyruszył, wyładowany funkcjonariuszami Ligi, którzy byli odporni

na życzenia śmierci emitowane przez guru, i uzbrojeni po zęby. Wylądowali oni koło składu i przejęli nad nim kontrolę. Pandita znaleziono nieprzytomnego, ze złamaną ręką, ale poza tym, wszystko było z nim w porządku. Drugi odrzutowiec, powstrzymał statek Denebian Exports przez startem, z załadowanymi już wcześniej bombami wodorowymi. Orkipem i jego towarzyszem, również pieczołowicie się zaopiekowano.

Reszta, oczywiście, znana jest już z historii. Guru z Wężownika IX, pokazano co się działo, w imieniu przyjaźni między nimi, a Denebem, oraz w imieniu izolacji. Większość z guru wycofała się całkowicie z aktywnego życia. Paru z nich, którzy tego nie zrobili, spędziło resztę swojego życia, pracując dla rozwoju harmonijnej współpracy między Wężownikiem i resztą Ligi Galaktycznej. Orkapa i jego towarzysza odesłano na Deneba do ukarania.

Dwa tygodnie później, Kovandaswamy uścisnął rękę Srii.

– Dziewczyna – stwierdził. – Zrobił pan to jako dziewczyna. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Ale przecież, takie właśnie rzeczy, budują legendę Mayhema.

Mayhem uśmiechnął się. Ośrodek miał już dla niego nowe zadanie. Czuł to poruszające, od dawna mu znane podniecenie, ciekawość. Uśmiechnął się tylko i powiedział Kovandaswamyemu:

– Lepiej niech pan nic nie mówi Panditowi. Myślę, że trochę się zadurzył w Srii.

KONIEC